Algis Budrys

Hymn skruchy

(Recessional)

`

Science Fiction Adventures, March 1953
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

To było kiepskie miejsce na to, by zaplątać się w Pierwszą Wojnę Międzygwiezdną. W walce przeciw zajadłym Kiti, nie mieli żadnych szans i dobrze o tym wiedzieli – a jednak walczyli ze wszystkich sił. Ale czy ich prawdziwym wrogiem nie była pewna abstrakcja, nazywana historią?

Niesamowite słońce Planety McMillena, wschodziło nad postrzępionym grzbietem górskim, rozciągającym się przed nami, świecąc nam prosto w twarz. Wzdłuż całej porozrzucanej linii, ludzie zaczęli nasuwać na oczy przyłbice i przypatrywali się kamienistym zboczom położonego naprzeciwko łańcucha wzgórz, przez zwężone szczeliny powiek. Pod nami, ranne zwierzę juczne, które krzyczało przez całą noc, kopnęło jedną ze zdrowych nóg jakiś kamień, staczając go z klekotem po zboczu górki, na której zaległiśmy. Niewielkie chmurki pyłu unosiły się i ponownie opadały, w miarę jak gorący wiatr kręcił lekko po dolinie.

Z lewej strony doleciał do mnie, trudny do pomylenia z czym innym, odgłos rygla Blevena, który otworzono aby pozwolić, zatroskanym żołnierzom z plutonu Broni Automatycznej, na sprawdzenie kiepsko zaprojektowanego ramienia wyrzutnika. Po mojej prawej dowódca kompanii, swoim niskim, zajadłym głosem, dyskutował właśnie z technikiem radiowym, próbując połączyć się z Bazą Gryf. Za mną ktoś wbił bagnet w szczelinę puszki z racją polową. Czyjeś ciężkie ciało zaszurało po chrupiących kamykach i ktoś do mnie podpełznął.

— Panie kapitanie! — odwróciłem głowę.

Za porysowaną, poznaczoną paciorkami potu przyłbicą hełmu, zobaczyłem zupełnie nieznajomą mi twarz. Kapral był jeszcze chłopcem o gładkiej twarzy i drobnej szczęce. Miał jednak potworną bliznę, która musiała być efektem trafienia przez pocisk dum-dum. Trafił go w kość policzkową, rozpłaszczył się i poszedł w górę, minimalnie mijając ucho i ścinając mu włosy na skroni. Blizna była ciągle różowa, co oznaczało, że musiał zarobić ją pod Darkarte. Warga w lewym kąciku lekko odginała mu się do góry, pewnie z powodu wstrząsu nerwowego lub złej opieki chirurgicznej nad raną.

— Tak, kapralu?

— Major Law chciałby się z panem zobaczyć, sir.

Popatrzyłem w górę zbocza w stronę stanowiska dowódcy kompanii. Law spoglądał na mnie przez polaroid swojej przyłbicy, unosząc rękę do góry. Przebiegłem szybkim spojrzeniem po przeciwległym grzbiecie. Bóg

wie po co, ponieważ ciągle był w cieniu i nic tam nie widziałem, ale kapral też rzucił wzrokiem zanim przeczołgaliśmy się po ostrych kamieniach, do małej dziury strzeleckiej, na wpół oczekując, że skoncentrowany ogień broni ręcznej z grzbietu potnie nas na kawałki.

Myślę, że kiedy wślizgnęliśmy się głowami naprzód do dołu strzeleckiego bez cienia jakiejkolwiek reakcji ze strony grzbietu, obydwaj byliśmy nieco tym zaskoczeni, ale kapral zwrócony był do mnie akurat uszkodzoną stroną twarzy, tak więc nie byłem w stanie ocenić jej wyrazu.

— Cześć, Mike — powiedziałem, kiedy już przekręciłem się głową do góry i usiadłem, opierając się plecami o jakiś głaz. Kapral pozostał na brzuchu, ponieważ dół był za mały aby dać mu właściwą osłonę w jakiejkolwiek innej pozycji. Wypróbował już wszystkie wolne kąty.

Mike Law skinął mi głową. Był krępym człowiekiem, w wieku około czterdziestu pięciu lat, z niewielkimi tylko śladami włosów, jakie pozostały mu pod hełmem, dwoma głębokimi bruzdami wychodzącymi zza nozdrzy i biegnącymi po obu stronach podbródka, nosem rozpoczynającym się jak ślizg narty, ale na końcu zamieniającym się w mały kartofel, oraz tak cienkimi wargami, że mogło być to efektem tylko wieloletniego ich zaciskania. Jego oczu nie sposób było określić jako lodowato-błękitne, ale jedynie dlatego, że lód nie wyglądał aż tak zimno. Znajdujący się za nimi mózg był wspaniały. Był oficerem rezerwy – gdyby był zawodowym, to nawet wszystkie kapuściane łby po tej stronie piekieł, nie przeszkodziłyby mu w zdobyciu stopnia generalskiego. Nie pasował do McMillena w równie dużym stopniu jak każdy inny geograf polityczny, ale robił tutaj lepszą robotę niż jakikolwiek wychowanek West Point, którego kiedykolwiek wysłano na tą spieczoną słońcem skałę.

— Harbin! — rzucił przez ramię i technik radiowy skrzywił się, jakby ten głos „karborundu-na-szkle” prześladował go już od wczesnego dzieciństwa.

— Tak jest, sir!

— Daruj sobie już zabawę tym pudłem. Jeżeli nie jesteśmy w stanie połączyć się z Gryfem, spróbujemy złapać kogoś innego. Zacznij wysyłać CQD na wszystkich zakresach fal. Bież się do roboty!

— Ale, sir, jeśli to zrobimy to Kiti zorientują się, że jesteśmy w kłopotach. — Ten pomysł wyraźnie nie spodobał się radiotechnikowi.

Law wbił wzrok w grzbiet wzgórza.

— Jestem absolutnie pewien, że oni i tak dobrze o tym wiedzą, Harbin! — odpowiedział łagodnym tonem. — Do roboty!

— Tak jest, sir! — Kiedy technik musiał przeskoczyć z powrotem na stanowisko radiowe, leżący na dnie dołu kapral, ochryple się roześmiał. Law spojrzał na niego z ciekawością.

— Och, ty jeszcze tutaj jesteś? — spytał łagodnie. — Idź zobacz, czy nie uda ci się wykopać porucznika Grannery, jeśli łaska. — Kapral skinął głową i prześlizgnął się przez krawędź dołu. Usłyszałem zgrzyt żwiru,

przesuwającego się w miarę jego ruchu naprzód, ale nie wystawiłem głowy spoza swojego głazu, aby go obserwować.

— Pewnie dosyć szybko ten chłopiec przeze mnie zginie, Ben — powiedział mi Law, z pewnością człowieka, czytającego przez ramię Losu, — ale co innego mi pozostało? Te przeklęte hełmy tłumią dźwięk tak bardzo, że nie można krzyczeć do ludzi, a przy tych zakłóceniach, z walkie-talkie nie ma żadnego pożytku. Nawet duże zestawy to śmiech na sali, kiedy ten kawałek skały podejdzie na swojej orbicie tak blisko słońca.

Zsunął z czoła swoje izolujące plastikowe nakrycie głowy, zaciskając mocno powieki, aby nie dopuścić do oczu szalejącej powodzi światła słonecznego, podrapał się z gniewem po tych kilku włosach, które pozostały wczepione w czubek jego skalpu i z powrotem nacisnął hełm. Wyciągnął złożoną mapę z kieszeni na biodrze, rozłożył ją z szelestem i wskazał palcem na niskie wzgórze, otoczone wyżej położonym terenem. Wykropkowana czerwona linia szlaku marszruty przechodziła obok wzgórza i skręcała dalej, prowadząc przez najeżony skałami teren w kierunku Bazy Gryf.

— Jesteśmy w tym miejscu — stwierdził. Zatoczył palcem koło, po otaczających ich grzbietach górskich i skałach. — A tutaj są oni.

To nie było najlepsze miejsce dla człowieka. Od czasu do czasu, pociski wyżej umiejscowionych nieprzyjaciół uderzały z góry w nasze pozycje, sondując porozrzucane doły strzeleckie, odbijając się rykoszetem od głazów i występów skalnych, wyrzucając w górę garście żwiru i trzaskiem zagłębiając się w ciała. Kiepskie czy nie, ale pomimo wszystko było to znacznie lepsze miejsce niż mogłoby być.

Jechałem łazikiem na tylnym krańcu kolumny, mając nadzieję, że przed rankiem uda nam się dotrzeć do Bazy Gryf. McMillen jest prawie cały usiany górami, a baza leży w niemal jedynym płaskim miejscu na jego powierzchni. Nie mówiąc już o atrakcyjności samego pomysłu spacerów po okolicy, bez konieczności wspinania się pod górę i schodzenia w dół, dodatkowym atutem był fakt, że kwatery oficerskie w bazie, wyposażone były w klimatyzację. Już się cieszyłem na chwilę, kiedy będzie można zrzucić z siebie te ohydne łachy i człowiek nie będzie się budził w kałuży potu.

Jeszcze trzy dni temu, na paskudnym obliczu McMillena, funkcjonowały dwa cywilizowane miejsca. Teraz, kiedy zniszczyliśmy urządzenia do wytopu, i zburzyliśmy fabrykę, tak by Kiti nie mieli z niej żadnego pożytku, Baza Gryf stała się jedynym, jakie pozostało.

Wszystko to działo się w początkowych fazach Pierwszej Wojny Międzygwiezdnej, kiedy nie mieliśmy żadnej nadziei, na utrzymanie izolowanych systemów gwiezdnych i zapobieżenie przejęciu ich przez Kiti. Personel cywilny ewakuowany został do domu, na własnych prywatnych statkach, ale garnizon, wzmocniony przez oddział Constabu, miał trwać, dopóki nas wszystkich nie będzie mógł stąd zabrać transport rządowy.

Czoło kolumny znajdowało się właśnie na szczycie lekkiego wyniesienia szlaku, kiedy uderzyli na nie Kiti. Usłyszałem trzask i wycie przelatujących między nimi pocisków rozpryskowych, chwilę wstrząśniętej przerwy i ciszy, a potem ogień z broni ręcznej, przytłumiony przez Bleveny, które niemal natychmiast się zacięły, zostały przywrócone do sprawności, a potem zacięły się znowu.

— Jedź tam na górę! — wrzasnąłem do swojego kierowcy, a strzelcy z mojego plutonu wskoczyli na pokład łazika, kiedy zaczęliśmy nabierać szybkości. Zacząłem ostrzeliwać z broni pokładowej łazika grzbiety wzgórz wokół szlaku i ogień Kiti częściowo chybił. Pociski kosiły zwierzęta juczne, przywiązane do łazika na wodzach, a moi ludzie zaczęli z przekleństwami na ustach, odcinać je i puszczać luzem. Wtedy Kiti poprawili swoją celność i kule zaczęły walić wokół kierowcy. Łazik zjechał ze szlaku, wspiął się na sześćdziesięciostopniową skarpę i przewrócił, ale moi ludzie i ja zaskoczyliśmy z niego na czas. Rozproszyliśmy się po kryjówkach za skałami na krawędzi szlaku i zaczęliśmy odpowiadać ogniem.

Moi ludzie byli porozrzucani na stu jardach wzdłuż szlaku. W pewnej odległości ponad nami, ludzie Lawa zostali odcięci pomimo ich większej siły ognia, który jednak był mniej efektywny niż powinien, gdyż celowniki podczerwone, na tej przesączonej ciepłem skalnej kuli, były zupełnie bezużyteczne. Zdałem sobie sprawę, że jeżeli dwie połowy kolumny pozostaną rozdzielone, zostaniemy wyrżnięci jeden po drugim. Próbowaliśmy więc wywalczyć sobie drogę w górę szlaku, biegnąc przez kilka sekund, a następnie nurkując z powrotem pomiędzy skały i ostrzeliwując grzbiety wzgórz. Nie widziałem jeszcze ani jednego Kiti, czego zresztą, przy ich podjazdowej technice walki, wcale nie oczekiwałem. Po prostu strzelaliśmy w stronę błysków broni w ciemnościach.

Byliśmy jeszcze jakieś pięćdziesiąt jardów od Lawa i jego ludzi, kiedy usłyszałem jak ponad zgiełkiem walki wykrzykuje rozkazy. Stał na szlaku, strzelając ze swojego pistoletu.

— To wzgórze! Musimy dostać się na to wzgórze! Jeżeli zostaniemy tutaj na dole, nie mamy żadnej szansy! — krzyczał.

Dołączyłem z moimi ludźmi do niego i zaczęliśmy przedzierać się w stronę wierzchołka wzgórza, na którym się znajdowaliśmy. Pomógł nam trochę przy tym fakt, że ogień prowadzony pod górę jest zawsze niedokładny, i, po koszmarnych piętnastu minutach, zepchnęliśmy Kiti ze szczytu wzgórza, zajęliśmy na nim coś w rodzaju pozycji oraz po zrzuceniu z góry solidnego deszczu granatów odłamkowych, na żołnierzy nieprzyjaciela próbujących wedrzeć się za nami na wierzchołek, pozostaliśmy tam na całą noc, pełną sporadycznych utarczek ogniowych i wykańczających nerwowo prób infiltracji.

Law uniósł wzrok znad swojej mapy.

— Gdzie jest ten twój łazik, Ben? — spytał. Pokazałem ręką, gdzie leży maszyna i jego czoło zmarszczyło się pod przyłbicą. — To niedobrze. Miałem nadzieję, że będzie trochę bliżej.

Włożył papierosa między wargi, przypalił go, zaciągnął się i pozwolił przez chwilę by dym powoli wylatywał mu z nosa, zanim pozbył się reszty jednym gniewnym parsknięciem.

— Niech to wszyscy diabli, mówiłem im przecież, że ten marsz drogą lądową, nie jest najlepszym pomysłem! — rzucił z wściekłością. Pamiętam, że sugerował przewóz ludzi do Gryfa cywilnymi statkami, ale pułkownik Dentick z Bazy Gryf odmówił zatwierdzenia tego rozwiązania. Ponieważ wszystko, co mieli w Gryfie, to trochę lekkich pojazdów inspekcyjnych i zwiadowczych, skończyło się, tak jak się skończyło.

Kapral i porucznik Grannery wczołgali się do dołu. W środku nie było miejsca aby pięciu ludzi miało właściwą osłonę, ale kapral zaczął poszerzać dziurę, przy pomocy saperki, równocześnie zwalając wykopane kamienie na barykadę. Law popatrzył na niego przez chwilę, a potem ze zdumieniem pokręcił głową. Ogień Kiti trochę zgęstniał, lecz chłopak zdawał się wychodzić z tego bez szwanku.

Grannery poprzedniej nocy został ranny. Na jego rękawie zawiązana była jakaś szmata, przykrywająca bandaż, a hełm, który miał na głowie, musiał chyba zabrać któremuś z poległych, zastępując swój własny, ponieważ widniejący na nim stylizowany znak błyskawicy technika-elektryka został zamazany sztyftem medycznym i zastąpiony przez prostą jedną belkę. Kombinezon także nie mógł być jego, ponieważ na jego ranie na ramieniu, nie było łaty. Upadł na dnie dołu, wyciągając do góry kolana i chrapliwie dysząc z gardła.

— O Jezu! — stwierdził, szybko wyrzucając z siebie słowa.

— Jak u ciebie, Phil? — spytał go Law.

Grannery tylko skinął głową na potwierdzenie „w porządku”. Przeciągnął dłonią po ustach. Jego szerokie wargi były paskudnie popękane. Law podał mu papierosa, którego zaczął palić, krótkimi pociągnięciami.

— Bywało już lepiej — w końcu odpowiedział.

— A jak tam się trzymają te twoje działka? — łagodnie zapytał Law.

— Wydaje mi się, że mniej więcej tak, jak można oczekiwać od Blevenów — odparł Grannery. — Tym niemniej, kto u diabła wmanewrował Zaopatrzenie w zakup takiego koszmaru każdego mechanika?

— Jak przypuszczam, obaj zdajecie sobie sprawę, że jeśli nie uda się nam powiadomić Gryfa, w jakie bagno wpadliśmy, jesteśmy ugotowani — powiedział Law. Odwrócił głowę do tyłu, w stronę radia:

— Harbin!

Technik rzucił przez ramię wystraszone spojrzenie.

— Tak jest, sir!

— Złapałeś kogoś?

— Nie sir. Przykro mi, sir.

— **H**m. No dobrze, próbuj dalej. — Law odwrócił się z powrotem w naszą stronę. — Nie mam w związku z tym zbyt wielkich nadziei — stwierdził krótko. — W bazie nie będą się nas spodziewali jeszcze przez niemal cały dzień, a i potem przez parę kolejnych chwil też nie będą się specjalnie martwili. Co więcej, garnizon jest tak mały, że nie będą chcieli podjąć ryzyka, wyruszenia na nasze poszukiwania, dopóki nie będą absolutnie pewni, że coś nie poszło źle.

Strząsnął papierosa, za krawędzią dołu.

— Musimy jakoś przesłać wiadomość — powiedział. — Jeżeli Harbin nie zdoła dokonać praktycznie cudu z tym radiem, będziemy musieli przesłać ją przez kuriera. Nie ma możliwości, abyśmy dali radę wywalczyć sobie stąd wolną drogę, ale łazikowi może się to udać, jeżeli zdołamy wysłać tam, do niego, paru ludzi.

— Kiti zajęli obie strony szlaku i będą tak długo strzelać, aż trafią kierowcę — apatycznie zauważył Grannery.

— Nie wydaje mi się. Na początku będzie trudno, ale będziemy mogli osłonić ucieczkę naszym ogniem. Zaś łazik, kiedy już się rozpędzi, jest w stanie prześcignąć każdego człowieka na nogach. To jest niewielka gromada zwiadowców, którzy spostrzegli szanse wpędzenia nas w strategicznie gorszą pozycję i w ten sposób nas przygwoździli. Zauważcie, że albo skończyła im się amunicja do wyrzutni rakietowych, albo mają jej tak mało, że muszą ją bardzo oszczędzać — powiedział Law. — Byłoby inaczej, gdyby kontrolowali szlak stąd do Gryfa, i mogli ewentualnie zastrzelić posłańców z ukrycia dalej na szlaku, ale wątpię, czy mają tutaj więcej, niż kompanię ludzi, i to w najlepszym przypadku. Musieli przekraść się na jednym statku, żeby rozejrzeć się w sytuacji.

Przez chwilę myślałem, że Law nie dostrzegł możliwości, że do tej pory Kiti wezwali większe siły. Ale potem uświadomiłem sobie, że zastanawiał się nad tym znacznie dłużej niż ja i nie chciał jeszcze bardziej dołować i tak już mocno przygnębionego porucznika. Jeżeli będziemy poruszać się szybko, być może uda nam się zrealizować ten plan i uciec, co, w świetle dokonanej przez Lawa oceny całości sytuacji, nie byłoby wcale takim tchórzostwem, jak zazwyczaj.

— Najtrudniejszą częścią tej całej imprezy będzie dostanie się do łazika i powrót na szlak. To oznacza działanie pod ogniem na otwartym terenie. I tutaj właśnie wkraczasz do akcji ty, Phil. Damy ci osłonę ognia z broni ręcznej do czasu aż przestawisz swoje Bleveny, tak byś mógł zamiatać oba grzbiety wznoszące się ponad łazikiem. Potem to ty będziesz osłaniał ludzi pracujących nad maszyną, a następnie razem ze strzelcami zabezpieczycie przedarcie się łazika przez Kiti. Diabelnie mi przykro, ale nie możemy czekać na zapadnięcie zmroku.

— Chcę, abyś teraz poszedł do swoich ludzi i doprowadził te Bleveny do najlepszego stanu, w jakim kiedykolwiek się znajdowały. Nie możemy pozwolić sobie na to, że się zatną. Kiedy będziesz gotów, powiadom mnie, a wtedy uruchomimy całą akcję.

Grannery skinął głową. Rzucił papierosa na ziemię, przydepnął go i zaczął się czołgać w dół zbocza, do swojego stanowiska. Przekradał się od

głazu do głazu, wystawiając się najmniej jak to było możliwe. Pomimo wszystko, zauważyłem jak coś uderza w nogawkę jego kombinezonu, zanim zniknął w swoim dole.

Kiti musieli się domyślać, że coś się szykuje, ponieważ ich ogień zintensyfikował się. Law, kapral i ja rzuciliśmy się na dno dołu. Harbin skulił się za opancerzonym radiem.

— Pojedziecie we dwóch — oznajmił bez żadnych wstępów Law. — Kapral będzie kierowcą, a ty, Ben, będziesz mógł swobodnie obsługiwać broń. — Miałem właśnie powiedzieć, że do tego niepotrzebny jest oficer, kiedy przerwał mi, zanim jeszcze na dobre zacząłem.

— Kapralu, a co byście powiedzieli na jakieś śniadanie? — powiedział.

Chłopak zaczął pałaszować puszkę z racją. Law odciągnął mnie na stronę.

— Obaj idziecie z określonych powodów, Ben. Kapral, ponieważ jestem mu winien tę szansę i poza tym medal za odwagę. Natomiast ty, ponieważ, obawiam się, że do przekonania Denticka aby nas stąd wydostał, potrzebny będzie oficer.

— Co? — To było wszystko co zdołałem wyjąkać.

Law ponuro się uśmiechnął.

— Czytałeś może kiedyś coś Kiplinga, Ben? A szczególnie wiersz pod tytułem „Hymn skruchy”[1].

— Coś tam o „Byśmy, niepomni, nie szli w bezdroże”, czy jakoś podobnie?

— „Floty nasze przesławne stopniały; Na żuławach, lądach popiół siwy: Przygasł blask nasz wczorajszy, wspaniały; Proch z nas został Tyru i Niniwy” — cicho zacytował.

Bóg wie, że słyszałem w życiu mnóstwo wierszy, ale nigdy się nie spodziewałem, że usłyszę Kiplinga z ust Mike’a Lawa, na dnie dołu strzeleckiego na McMillenie.

— Kiedy Kipling to pisał — powiedział Law, — rozumiał jakie czasy nadchodzą dla imperium, którego był obywatelem. To jest nieuniknione dla każdego systemu, który brnie na oślep do przodu, pokładając ufność w „dymie luf i stali pancerzach” i niech diabli wezmą tych na końcu. I to właśnie także stanie się z nami, ponieważ zapuściliśmy się prosto w terytorium Kiti, nie myśląc o konsekwencjach. I to nie o to chodzi, że to bardziej nasza wina niż ich. To nie była również wina dwudziestowiecznych Brytyjczyków, że imperium zaczęło im się walić na głowy. To po prostu system, który wymaga nieustannych wysiłków dla jego utrzymania, a jeżeli wysiłki te kiedykolwiek zostaną zaniechane, nawet na krótki okres, wszystko się wali.

— Ben, kiedy wygramy tę wojnę, a wygramy ją z pewnością, cała filozofia ekspansji międzygwiezdnej, będzie musiała ulec zmianie. Jeżeli

[1] Wszystkie cytaty z „Hymnu skruchy” („Recessional”) Rudyarda Kiplinga w tłumaczeniu Stanisława Helsztyńskiego (przyp. tłum.),

nie odrzucimy systemu imperialnego i nie zastąpimy go federacją równych i suwerennych układów słonecznych, to nastąpi cała seria wojen. Kosmos jest zbyt duży, żeby go utrzymać przy pomocy siły lub posłuchu. Ktoś gdzieś zawsze będzie się buntował.

— Ale bardzo wielu ludzi to zdeklarowani imperialiści, Ben. Dentick jest jednym z nich, a podobnie, również, niemal wszystkie największe szychy. Muszą być, inaczej nie zajmowaliby w hierarchii takiego miejsca, jakie zajmują. Kiedy sprawy w imperium biegną gładko, są całkiem w porządku, ale kiedy dzieją się takie rzeczy jak tu, wpadają w panikę. Są skłonni do tuszowania straty planety, tu i ówdzie, oraz mówienia o „obrazie całościowym", zaś w końcowej rozpaczy, o „przeżyciu, aby podjąć walkę w przyszłości". Dla nich poszczególne systemy słoneczne nie mają żadnego znaczenia. Dopóki zachowana jest forma imperium, dbają o to więcej niż o fakt, że terytorium imperium kurczy się każdego dnia.

— To jest właśnie taki rodzaj myślenia, który wytworzył ruchy dążące do restauracji caratu, w pięćdziesiąt lat po Rewolucji Rosyjskiej. Oni po prostu nie rozumieli tego, że ten system jest przestarzały. Niezależnie od tego, czy miał on rację czy nie, czy był on dobry czy zły, po prostu nie może już dłużej funkcjonować.

— Nadal, jednak, nie rozumiem, dlaczego Dentick miałby potrzebować namów, aby cię stąd wyciągnąć — wtrąciłem.

— No cóż, to trochę trudno wytłumaczyć, bez wchodzenia w pewne szczegóły tła, które ja znam — odparł Law, — ale w miejscu takim jak to, w czasie gdy Kiti roją się wzdłuż całej granicy i w każdej chwili mogą się tu pojawić z dużymi siłami, Dentick jest niemal zagotowany. Nigdy nie był zbyt bystry, ani za bardzo odważny. W normalnej sytuacji, mógłby sobie diabelnie napaskudzić w rejestrach, gdyby zostawił resztki kompanii na pewną śmierć. Byłby zmuszony wyruszyć na nasze poszukiwania, nieważne jak bardzo by mu się to nie podobało. Ale w obecnym stanie rzeczy, przy tej całej hordzie budowniczych imperium, biegających wokoło i wyrywających sobie włosy z głów, a przy tym nikt nie jest tak do końca pewien co się dzieje, ma doskonałą możliwość do tego, by pokręcić z żalem głową, z oburzeniem wypowiedzieć się o „morderczych obcych", wygłosić jakąś bełkotliwą gadkę o tym, jak nasza heroiczna walka do końca dostarcza świetlanego przykładu, a potem usiąść w swojej kwaterze głównej i nic nie zrobić. Uwierz mi, Ben, ja znam Denticka. Nigdy nie wyruszy, jeżeli nie będzie miał co najmniej regimentu na każdą kompanię wroga.

Splunął przez krawędź dołu.

— Przyjmując, że to jest prawda — zauważyłem, — w jaki sposób mam go przekonać, aby zaryzykował swój cenny tyłek?

Law skrzywił się.

— Obawiam się, że to już zależy tylko od ciebie. Jeżeli uda ci się wywrzeć na nim dostateczną presję, spowodować by zaczął się martwić, że możesz narobić wokół tego wielkiego smrodu, może podejmie ryzyko.

Grannery zasygnalizował ze swojego stanowiska. Chwyciłem dłoń Lawa i zamknąłem ją w swoich.

— Zrobię, co tylko się da — obiecałem.

Łazik podskoczył i zakręcił gąsienicami po szlaku. Kapral z ponurą zawziętością wczepił się w dźwignie przyrządów sterowniczych, a mnie pas fotela operatora działka przeciął niemal na pół. Plan Lawa zadziałał i miał on również rację, co do wielkości oddziałów Kiti. Przeżyliśmy trudne chwile, przygotowując łazik do jazdy, ale kiedy już przebiliśmy się przez Kiti i rozpędziliśmy do pełnej szybkości, podróż zmieniła się w wyczerpującą pośpieszną jazdę po krętym szlaku.

Zastanawiałem się, co się działo z Lawem. Ogień ze zboczy był morderczy i w pewnej chwili, kiedy kapral wyciągał łazika z pułapki, spojrzałem do tyłu przez ramię i wydawało mi się, że widziałem jak krępa postać majora pada na ziemię. Natychmiast jednak zerwał się z powrotem na nogi i z ulgą otarłem pot spływający mi na szczękę.

Przetoczyliśmy się hurgotem przez kolejny grzbiet i na kilka sekund, zanim nie zjechaliśmy z powrotem w dolinę, dostrzegłem wieżę radiową Gryfa.

Z jakiegoś jednak powodu, chociaż tak od razu nie mogłem zgodzić się z logiką Lawa, nie potrafiłem również wyrzucić z głowy jego twierdzeń. Nie byłem w stanie pojąć, że pułkownik Dentick mógłby naprawdę zostawić kompanię na zagładę, ale im więcej o tym myślałem i składałem to z moją wiedzą na temat sposobu myślenia Denticka, tym bardziej mnie to wszystko niepokoiło.

Przedarliśmy się przez ostatnie skały i zaczęliśmy toczyć się po płaskiej równinie w stronę bazy. Klepnąłem kaprala po plecach.

— Na Boga, dokonaliśmy tego! — krzyknąłem, a on w odpowiedzi szeroko się uśmiechnął. Zacząłem obmyślać sposoby przyciśnięcia Denticka.

Wtedy dostrzegłem siedzący na lądowisku transportowiec. Swoimi rozmiarami dominował nad zabudowaniami bazy, rzucając długi cień na budynek Administracji.

— Musiał przylecieć przed rozkładem — powiedział kapral. Na jego twarzy pojawiła się lekka zmarszczka. — Zaczekają, dopóki nie wydostaną majora, co nie? — spytał.

— Oczywiście, że zaczekają — odparłem.

Przejechaliśmy przez bramę i skierowaliśmy się do transportowca. Przy bramie nie było strażnika i nie widziałem żadnych ludzi kręcących się po bazie. Objechaliśmy narożnik koszar i wtedy zobaczyłem, dlaczego. Po rampie transportowca wchodził długi rząd ludzi z ekwipunkiem. Baza została porzucona.

— W górę, tą rampą — krzyknąłem do kaprala i nasze gąsienice zagrzechotały obok rzędu ludzi, wjeżdżając po metalowej rampie do środka statku.

Wyskoczyłem z łazika i podbiegłem do grupy oficerów. Dentick zauważył mnie i odwrócił się w moją stronę.

— Knowles! — powiedział. — A więc kolumna dotarła tutaj na czas. — Odwrócił głowę i zapytał oficera transportowca. — Komandorze Williams,

to jest kapitan Knowles z kolumny z huty metali. Czy może pan, jednak, zaaranżować przyjęcie na pokład również i jego kompanii?

Stałem, gapiąc się na niego. Oni byli gotowi odlecieć bez nas. Nawet gdybyśmy przybyli w zaplanowanym dla nas czasie, byłoby za późno.

— Pułkowniku Dentick — szybko powiedziałem, — kolumny tutaj nie ma.

— Nie ma jej tutaj? — Odwrócił się z powrotem w moją stronę i popatrzył na mnie z zaskoczeniem. — A więc, co pan tutaj robi?

— Kolumna została odcięta i wciągnięta w pułapkę przez siły Kiti — odparłem. — Major Law próbował połączyć się z panem przez radio, ale zakłócenia były za silne.

Dentick zbladł.

— Kiti! Tutaj, na McMillenie? Komandorze, czy pan to słyszał? — On i oficer transportowca, pobiegli do szczytu rampy. — Wszyscy na pokład! — Dentick wrzasnął w stronę ludzi, którzy ciągle wchodzili po rampie na pokład. — Wszyscy natychmiast na górę! Szybciej, szybciej, ruszać się! — Pobiegłem za nimi.

— Czy nie wyruszy pan po majora Lawa i jego ludzi, sir? — krzyknąłem.

— Wyruszyć po Lawa? Człowieku, czyś ty zwariował? Całe siły główne Kiti są już w drodze na tę planetę. Jeżeli nie wystartujemy w ciągu pół godziny, sami znajdziemy się w pułapce. Nie może pan oczekiwać, że zaryzykuję życie personelu bazy i załogi transportowca, w celu ocalenia niedobitków jednej kompanii. W przypadku, z którym mamy do czynienia, muszę myśleć o odpowiedniej wadze strategicznej statku międzygwiezdnego i wyszkolonych ludzi, pozostających pod moim dowództwem. — Zaczął niecierpliwymi gestami poganiać wjeżdżającą po rampie ciężarówkę. — Bardzo mi przykro, panie kapitanie, ale Law po prostu będzie musiał zostać tam gdzie jest.

Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem. Wtedy uświadomiłem sobie, że jednak Law, pomimo wszystko, miał rację. Odwróciłem się od niego i poszedłem do łazika. Kapral zobaczył moją twarz.

— Oni mają zamiar zostawić tutaj majora, co nie? — powiedział.

Nic więcej nie mogłem zrobić, jak tylko skinąć głową. Obserwowałem ludzi maszerujących po rampie, przemieszanych z ludźmi wjeżdżającymi różnego rodzaju mobilnym sprzętem.

— Knowles! — Dentick zawołał z drugiego końca rampy. — Niech pan tu przyjdzie i pokieruje tym, dobrze? Komandor i ja musimy sprawdzić załadunek tego całego wyposażenia.

Podszedłem do rampy i zacząłem kierować ruchem. Spoglądałem na twarze ludzi, w miarę jak przechodzili rzędem koło mnie. Ich twarze były blade, a dłonie spoczywające na paskach karabinów, błyszczały od potu.

Usłyszałem za sobą grzechotanie gąsienic łazika. Kapral siedział za przyrządami sterującymi, z zasuniętą przyłbicą, przesłaniającą twarz. Skierował łazik w dół po rampie i zaczął zjeżdżać w stronę ziemi. Ludzie i sprzęt uciekali mu pośpiesznie z drogi.

— Muszę zawiadomić o tym majora! — krzyknął w odpowiedzi na moje wołanie, a potem zwiększył szybkość do górnego limitu. Łazik zjechał na ziemię i pomknął przez lądowisko, a potem dalej, w kierunku gór.

Stałem, obserwując go, dopóki nie zniknął za rzędem budynków. Ludzie nieustannie przechodzili koło mnie rzędem, do środka transportowca, a słońce paliło mnie w twarz.

I to jest historia sławnej Straconej Kompanii. Podręczniki szkolne do historii są jej pełne, wszyscy jej żołnierze otrzymali Medal Honoru Kongresu, pośmiertnie.

Ja musiałem się zadowolić prezydenckim ułaskawieniem, po tym jak złamałem Dentickowi szczękę i za każdym razem kiedy słyszę o chwale wojny w kosmosie, o ogromnych flotach otaczających całe układy planetarne, o wspaniałych akcjach floty w głębinach międzygwiezdnych przestrzeni, w tej samej chwili natychmiast wstaję, wychodzę i idę się upić.

KONIEC